

A close-up photograph of a lit candle. The flame is a vibrant, glowing blue, with a bright white core. The wax of the candle is dark, and the background is a deep, dark blue. The flame's shape is dynamic and fluid, with several layers of light blue and white. The text is overlaid on the lower right portion of the image.

Tomasz Szlijan
Dlaczego

Tomasz Szlijan

DLACZEGO

© Copyright by
Tomasz Szlijan & e-bookowo

Projekt okładki: e-bookowo

zdjęcie: sxc.hu

ISBN 978-83-7859-167-2

Wydawca: Wydawnictwo internetowe e-bookowo
www.e-bookowo.pl
Kontakt: wydawnictwo@e-bookowo.pl

Wszelkie prawa zastrzeżone.
Kopiowanie, rozpowszechnianie części lub całości
bez zgody wydawcy zabronione
Wydanie I 2013

Tomasz Szlijan *Dlaczego*

kochanej żonie - Justynie

Wtorek. Potężny silnik powoli wciąga windę na dziesiąte piętro. Na tym piętrze mieszkam. Winda cała drży. Słysząc zgrzyt pracujących trybów silnika oraz naciągniętych do granic wytrzymałości lin. Ósme piętro, dziewiąte, jeszcze tylko jedno. Silnik wyciągarki wyłącza się automatycznie po przekroczeniu przez kabinę czujnika. Już tylko siłą rozpędu kabina dociera na odpowiednią wysokość. Trzask blokujących się na prowadnicach automatycznych hamulców. Nareszcie. Dotarłem bezpiecznie na swoje piętro. Zawsze jadąc windą jestem pełen obawy, że liny pękną. Nie wytrzymają naprężenia i kabina windy ze mną w środku zacznie gwałtownie spadać w dół. Hamulce bezpieczeństwa nie będą w stanie zatrzymać spadającej kabiny i tak w otoczeniu iskier wydobywających się spod klocków hamulcowych, zgrzytu metalu o metal i mojego własnego przeraźliwego pisku, straciłbym życie rozbijając się na dnie szybu windowego. Teraz jestem szczęśliwy, przekroczywszy próg windy i słysząc zatraskujące się za mną drzwi. Paranoją jest to, że mając lęk wysokości mieszkam w wieżowcu na dziesiątym piętrze, klatki numer 7 mieszkania 32. Cały ten nieszczęśliwy blok znajduje się na ulicy Kwiatowej. Jest wybudowany z elementów żelbetowych, obskurny i brudny. Jest on częścią dosyć dużego osiedla, na którym takich bloków znajduje się kilkanaście. Po obskurnych klatkach tłuką się „blokersi”, sączący tanie wino po ciemnych kątach i płodzący nowe pokolenie dzie-

ci zaniedbanych wychowujących się tak jak ich rodzice – na klatkach schodowych. Cudem na mojej klatce zachował się spis lokatorów.

W rubryce pod numerem 32-im można odczytać „EDWARD MIODEK”. Tak się nazywam. Z reguły nigdy nie wracam do domu tak późno. Mój dzień jest bardzo prosty. Rano wczesnie wstaję, robię sobie śniadanie – najczęściej zupełną mleczną z płatkami kukurydzianymi – myję się i wychodzę do pracy. Wracam około godziny siedemnastej, oglądam Teleexpress i przygotowuję sobie obiad. Zjadam go i biorę kąpiel. Później czytam książkę, oglądam dobranockę i idę spać. I tak codziennie, oprócz niedziel oczywiście. Dzisiaj było jednak nieco inaczej. Spotkałem bowiem kolegę z podstawówki. Zaprosił mnie do kawiarenki „Jagódka” na kawę i opowiadając historię swojego życia, zajął mój czas prawie do północy. Wracając do domu, bałem się trochę, że gdzieś w ciemnej klatce napadną mnie „blokarsi” i obiją mi twarz celem zdobycia pięciu złotych na butelkę wina. Na szczęście nic takiego się nie stało, i teraz spokojnie wkładam klucz do zamka marki „Łucznik”. Przekręcam dwa razy. Zawsze zamykam na dwa razy. Nie posiadam, bowiem drzwi antywłamaniowych. Są po prostu dla mnie za drogie. Przekręcenie więc klucza dwa razy, daje mi poczucie bezpieczeństwa, pomimo tego, że drzwi składają się tylko z podwójnej warstwy dykty. Zamykam drzwi. Zapalam światło w przedpokoju. Moje mieszkanko nie jest zbyt duże. Około czterdziestu

metrów kwadratowych. To, jak na kawalera, jest bardzo dużo. Posiadam więc przedpokój, kuchnię, dwa małe pokoiki, z których jeden jest moją sypialnią, oraz mam jeszcze łazienkę z ubikacją włącznie. W przedpokoju stoi wbudowana we wnękę szafa. Jest bardzo ładna i pojemna. Za jej zrobienie musiałem zapłacić aż siedemset złotych! Długo na nią zbierałem, ale w końcu się udało. Jedne z drzwi tej szafy, a są to drzwi przesuwane, mają przyklejone na swojej powierzchni duże lustro. Dzięki temu zabiegowi posiadam również w przedpokoju lustro, w którym codziennie mogę podziwiać swoją sylwetkę. Nie jest może ona zbyt imponująca, ale mi absolutnie wystarcza. Jestem mężczyzną ważącym około siedemdziesiąt pięć kilogramów. Mój wzrost określa się jako wysoki. Dokładnie mierzę sto osiemdziesiąt trzy i pół centymetra. Mam czarne włosy z białymi plamkami prześwitującej gdzieś skóra. Noszę okulary w czarnych, grubych oprawkach. Moje szkła to: minus dwa na prawe oko i plus trzy na lewe. Jestem więc nieco ślepy, i być może dzięki temu nie dostrzegam u siebie zbyt wielu błędów. Kiedy patrzę na ludzi bez okularów, to muszę bardzo mocno mrużyć oczy i przyglądać się im z bliska. Ich twarze są bowiem dla mnie niewyraźne, zamazane i widzę tylko sylwetkę człowieka rozmawiającego ze mną. Znajomych poznaję wówczas po głosie, a niektórych po zapachu. Jeżeli jednak moim rozmówcą jest osoba, z którą spotykam się po raz pierwszy, no to mam poważny problem. Nie tylko nie wiem jak wy-

gląda, ale również jego barwa głosu jest dla mnie prawdziwą zagadką. Trudno jest mi bowiem przyporządkować dany głos do kogoś, jeżeli nie znam jego twarzy. Skutkiem tego, często zdarza mi się spotykać ludzi, którym podobno coś obiecałem i później swojej obietnicy nie dotrzymałem. Lecz jak miałem ją dotrzymać, skoro nie wiedziałem jak dana osoba wygląda? Poza tym często obiecuję coś na odczepnego, tak po prostu, żeby dana osoba dała mi święty spokój. Przecież powinna zdawać sobie sprawę, że jej nie widzę, jeżeli oczywiście nie mam na nosie okularów, i że ta rozmowa toczy się bez jakiegokolwiek ładu i składu.

– Och kurdelek – krzyknąłem głośno. – Ależ ten telefon ma głośny sygnał! Jest tak przeraźliwy, że na jego odgłos wszystkie kończyny mi cierpną. Pomimo jednak tej wady, jest to całkiem zgrabny telefon. Kolor obudowy jest szary, z dużymi przyciskami numerycznymi pokrytymi masą perłową, oczywiście sztuczną, tak by używając go często, nie zatrzeć numerów. W swoim wyposażeniu posiada również przycisk służący do odtwarzania wybranego ostatnio numeru, jak również przycisk wprowadzający do menu książki telefonicznej. Na razie mam tam tylko trzy numery. Pierwszy to numer telefonu mojej mamusi, drugi to numer do mojego braciszka Pawełka. Te dwa numery zapisała moja mamusia. Trzeci z kolei zapisała moja była dziewczyna, Wanda, i był to właśnie numer do niej. Odbiorę już jednak słuchawkę. Jeszcze sąsiedzi będą gotowi mnie zabić, bo „budzi ich mój telefon”. Tak poza tym je-

stem bardzo ciekawy, kto też może dzwonić do mnie o tak późnej porze. W życiu nie zdarzyło mi się tak późno odbierać telefonu. Powoli podniosłem słuchawkę do ucha:

– Tak słucham. Edzio przy telefonie.

– Koniec żartów...yyy... Edzio – gburowaty, niski i wydaje mi się, że przepity głos rozległ się w słuchawce. – Jutro o tej porze na Kwiatowej 7/32 będzie leżał trup!

Trzask odłożonej słuchawki. W mojej słuchawce słyszę tylko przerywany sygnał. Czuję jak moje nogi miękną, robi mi się sucho w gardle, słuchawka wyslizguje mi się z dłoni i spada na podłogę. Po sekundzie ja również osuwam się na podłogę. Nawet nie zwróciłem uwagi na to czy słuchawka jest cała, czy też rozsypała się na kawałki. Zresztą nieważne. Telefon wygrałem kupując paczkę chipsów. Kiedy ją otworzyłem, znalazłem w niej kupon, na którym było zdjęcie mojego już telefonu. Z tyłu kuponu było miejsce na wypisanie moich danych osobowych wraz z adresem, oraz adres, pod który należało wysłać wypełniony kupon. Tak jak było napisane, tak zrobiłem no i za trzy dni przysłali mi za pośrednictwem firmy kurierskiej mój telefon. Wystarczyło tylko podpisać się na specjalnym formularzu potwierdzającym odebranie przesyłki, i już miałem telefon w domu. Stałem się tym sposobem pełnoprawnym posiadaczem telefonu marki Alcatel. Lecz teraz to jest mało ważne. Jeżeli słuchawka jest uszkodzona, to jutro pójdę do tego sklepiku, kupię sobie nową paczkę chipsów i znowu wygram telefon. Przecież to takie proste. Zastanawia

mnie tylko – „hyyyy” – ale się przestraszyłem! Dlaczego ten zegar zawsze musi tak głośno wybijać godziny? Ding-dong, ding-dong, dziesięć, jedenaście, dwanaście.

– O kozia nóżka! Już północ! – krzyknąłem. Kto mógł dzwonić o tak późnej porze? W ogóle co to był za głos? Nie przypominam sobie, bym znał kogokolwiek o takiej barwie głosu. No i najgorsze, ta groźba! Dlaczego ktoś miałby mnie zabijać? Czyżbym naraził się jakiejś mafii?

Powoli podnoszę się z podłogi. Miętkość moich kolan, która wystąpiła po usłyszeniu groźby, skutecznie unieszkodliwiła moje zwiotczone ciało na podłodze. Drżącą ręką podparłem się o małą szafkę, na której stał telefon. Wymagało to ode mnie nie lada wysiłku, w końcu nie codziennie otrzymuje się takie pogróżki. Ostrożnie, opierając się o ścianę i szurając butami o podłogę, przemieściłem się do pokoju. Zapaliłem światło. Zrobiło się troszeczkę przyjemniej. Światło daje poczucie bezpieczeństwa. Takie fałszywe poczucie, bo przecież niejeden morderca zabijał w biały dzień i to czasami na oczach wielu ludzi. Jednak przy świetle czuję się bezpieczniej. Przetoczyłem swoje ciało w kierunku tapczanu. Jest to nieco stary tapczan. Jego kiedyś piękna tapicerka, jest teraz w wielu miejscach mocno przetarta. Pośrodku – ktoś, kto nie zna tego tapczanu – siadając może się zapaść. Wyłużyły się już tam bowiem sprężyny i utworzyła się na ich miejscu dość pokaźna dziura. Jeżeli jednak odpowiednio naciągnę na rogach tapczanu tapicerkę, wówczas wydaje się, że siedzisko

jest bardzo pulchne i wygodne. Aż się prosi by się na nim położyć. W końcu dotaszczywszy swoje ciało do tapczanu, klapnąłem tyłeczkiem w sam środek dziury. Wpadłem tak głęboko, że moje stopy znalazły się na wysokości oczu, tuż przy twarzy. Były tak blisko, że aż poczułem smród moich spoconych całodziennym przebywaniem w butach stóp. Nielatwo jest wydostać się z dziury będąc w takiej pozycji. Na szczęście ręce mam nieco długie i złapawszy się oparcia bocznego mojego tapczanu, przy dużym wysiłku, udało mi się wydostać z pułapki. Usiadłem ponownie, lecz tym razem na skrawku tapczanu. Moje myśli ponownie zaczęły krążyć wokół odebranego wcześniej połączenia telefonicznego. – Któż to mógł być? – zadawałem sobie w myślach pytanie. Za co miałbym zostać zabity? Przecież chyba o to chodzi? Co prawda, ten dziwny pan nie powiedział, że trupem będę ja, ale skoro wymienił mój adres... To na pewno chodzi o mnie. Nonsensem byłoby wnoszenie czyichś zwłok do mojego mieszkania. Lecz skoro chodzi o mnie, to co ja takiego zrobiłem, żeby trzeba było mnie zabić? Zaraz, zaraz, muszę się zastanowić. Dlaczego ludzie się zabijają? Gdyby tak pomyśleć... hm.... jest mnóstwo powodów, dla których popełnia się morderstwa. Można by na przykład zabić, ponieważ jest się dłużnym komuś grube pieniądze, lub odwrotnie, może zabić ten, któremu te pieniądze mamy oddać, bo jego zdaniem uchylamy się od zapłaty żądanej kwoty. Można też zabić z zazdrości, z miłości lub nienawiści, z chciwości, dla zabawy lub po prostu

zabić żeby zabić. Wydaje mi się jednak, że ja nie spełniam żadnego z tych warunków. Niech no tylko pomyślę...

Podniosłem swój tyłeczek z tapczanu, naciągnąłem tapicerkę uzyskując doskonałą wręcz gładkość i rozpocząłem swój rytualny truchcik wokół stoliczka. Zawsze biegam wokół niego, kiedy zaczynam myśleć. W ten sposób dotleniam swój organizm, a co za tym idzie i mózg, który zaczyna dzięki temu zabiegowi lepiej pracować. Niestety, pora dnia a właściwie to nocy była dość późna, a mój mózdzek zmęczony, więc mój trucht zmienił się w niedbaly marsz, przy którym zacząłem robić głębokie wdechy i wydechy, głośno przy tym siebie pytając: – Za co mają mnie zabić? Wiadomo powszechnie, że los bywa złośliwy. Moje zmęczone ciało dawało już znać mojemu mózdzkowi, że ma już dość tego bezsensownego marszu. Mózg jednak nie reagował. Był bowiem poważnie zajęty szukaniem odpowiedzi, na głośno zadane przeze mnie pytanie. Ciało zorientowawszy się, że nic nie wskóra, samo przejęło inicjatywę i odpowiednio zareagowało. Splątawszy moje nogi w „węzeł gordyjski”, skutecznie powstrzymało dalszy marsz, gwałtownie położywszy mnie z hukiem na ziemi, a ściślej opisując to na wykładzinie, całą długością mojego ciała. Zanim jednak ciało zdążyło osiągnąć cel, moja główka umiejętnie zahaczyła o wystający parapet, bo jak zapewne sobie przypominacie moje mieszkanko jest dosyć przyciasne ja natomiast wysoki. Tym sposobem połała się pierwsza krew. Krew czerwona, wręcz czarna, gwałtow-

nie spływała mi kaskadą na oczy. Zerwałem się na równe nogi i odbijając się o meble, potykając o wykładzinę i nie wiem o co jeszcze, ponieważ widziałem tylko krew, pobiegłem do łazienki, gdzie tuż obok lustra miałem powieszoną apteczkę. Przecierając oczy rękawem, udało mi się ją dostrzec. Szybko wydobylem z jej wnętrza potrzebne mi rzeczy, a mianowicie: bandaż, chusteczki higieniczne oraz spirytus salicylowy do odkażenia rany. Nie zwlekając ani chwili dłużej, przeszedłem do działania. Chlusnąłem sobie zawartością butelki prosto w czoło.

– Och! Kaczy kuper! Co w tej butelce było?! – wyrwał mi się z mojego gardelka okrzyk pełen bólu i cierpienia. Ból był tak wielki, iż wydawało mi się, że za chwilę rozerwie mi głowę. Czoło z rozciętą w poprzek skórą piekło mnie i szczypało. Rana cała się spieniła. Spirytus spełnił swoją rolę i porządnie odkaził od wszelkich bakterii i zarazków moją ranę. Jeżeli nie chcę mieć w przyszłości kłopotów, to dla dobra zdrowia muszę się poświęcić. Mocno zacisnąłem zęby i odpakowałem paczuszkę chusteczek higienicznych. Wyciągnąłem z niej dwie sztuki chusteczek i przyłożyłem je sobie do czoła. Musiałem użyć aż dwie, ponieważ moje czoło było dość okazałych rozmiarów. Na szczęście nie musiałem ich podtrzymywać ręką. Przykleiły się od razu, a ja mając dwie wolne ręce odpakowałem bandaż i okręciłem go sobie wokół głowy. Wyglądało to mniej więcej jak szeroka opaska w kolorze biało – czerwonym. Uprzątnąwszy ślady „zbrodni”, powróciłem do myślenia. Tym razem

jednak odstąpiłem od reguły i zrezygnowałem z biegania. Postanowiłem nieco ogarnąć myśli i odnaleźć, oczywiście w myślach, ludzi którzy mieliby powód, żeby mnie zabić.

– Pomyśl Edziu – mówiłem do siebie głośno. – Gdyby ktoś na przykład chciałby cię zabić dla pieniędzy. Oczywiście motyw rabunkowy odpada. Groszem nie śmierzysz, w domu nic nie masz... właśnie! Przecież pożyczyłeś troszeczkę forsy! Może dlatego otrzymałeś tę groźbę, ponieważ nie spłacasz długu. Z drugiej jednak strony, to, z czego ja niby mam spłacić ten dług? Ledwo co wystarcza mi na związanie końca z końcem. Dlaczego jednak miało by to kogoś obchodzić. Jak umiałeś pożyczyć, to musisz też umieć oddać. Ale od kogo ja pożyczyłem pieniądze? Niech się skupię.

Zacząłem intensywnie masować palcami skronie. Troszeczkę przeszkadzał mi w tym bandaż, który podczas masażu zsunął mi się na twarz. Udało mi się zapobiec temu kłopotowi, zawijając nadmiar bandażu za uszy i zakładając na nos okulary, które wcześniej zgubiłem podczas upadku, a teraz szczęśliwie je odnalazłem. Stało się to całkiem przypadkowo. Właściwie to nadepnąłem je piętą. Skutkiem tego nadeptnięcia, jedno z moich szkieł, prawie minus dwa, przypominało z wyglądu pajęczynę. Mnóstwo malutkich pęknięć do złudzenia przypominających mistrzowską i żmudną pracę pajaka. Co prawda nie wiele dało się zauważyć przez uszkodzone szkiełko, ale na szczęście było jeszcze drugie szkiełko. Całe, które nadal sympatycznie

wywiązywało się ze swojej roli i skrupulatnie powiększało świat przed moim lewym okiem. W końcu było to plus trzy. W ten sposób będąc zabezpieczony przed opadającym bandażem i wciąż wykonując swój masaż mózdzku, mogłem dalej kontynuować moje przemyślenia.

Postanowiłem wyodrębnić w swojej pamięci osoby, którym wisiałem jakąkolwiek kwotę pieniężną. Pierwsza osoba, jaka przyszła mi na myśl to pan Czesio – właściciel osiedlowego kiosku. Tak. To z pewnością on! Tyle opowiadał mi o swojej bujnej przeszłości. Pan Czesio był recydywistą. W dodatku na zwolnieniu warunkowym. Jak opowiadał, warunkiem jego zwolnienia było jak najszybsze znalezienie sobie uczciwej pracy. Więc co miał robić? Nikt nie chciał go zatrudnić. Każdy potencjalny pracodawca, gdy tylko zobaczył jego życiorys bladł i wypraszał pana Czesia z zakładu argumentując, że to pomyłka, wolne miejsce już dawno jest obsadzone i to redakcja gazety pomyliła się, drukując ogłoszenie już dawno nieaktualne. Pan Czesio czuł na swojej skórze oddech „klawiszy”. W swoich nozdrzach wciąż czuł śmierdzący zapach więziennej pryczy. Nie chciał tam wracać, więc przejął inicjatywę we własne ręce. Pomyślał, pokombinował i otworzył osiedlowy kiosk. Dostarczył odpowiednie zaświadczenie nadzorującemu go kuratorowi zapewniając sobie spokój na wiele lat. Kiosk, który posiadał, był postawiony w tak dogodnym punkcie osiedla, że wszyscy mieli do niego blisko. Pan Czesio z kolei wszystkich znał z imienia lub też z ksywy. Można było u

niego kupić wszystko, nie tylko standardowy towar z asortymentu kioskarza. Chodziły plotki, że pan Czesio zaopatrywał pół miasta w narkotyki, a ten jego malutki kiosk to tylko przykrywka naprawdę dużego, czarnego interesu. Osobiście ja nigdy niczego podejrzanego nie zauważyłem. Jedno wiem na pewno. Jak ktoś miał jakiś problem, to przychodził do pana Czesia, przedstawiał swoje żale i trocki argumentując je solidną butelką wódki. Na drugi dzień ten ktoś śpiewał jak skowronek, oczyszczony z wszystkich brudów po porannej kąpieli.

Często zachodziłem do kiosku pana Czesia po zapalki. Potrzebowałem ich do rozpalenia piecyka gazowego, a nie, jak pewnie wielu sądziło, do zapalenia papierosa. Mamusia zawsze tłukła mi w głowę:

– Synusiu kochany. Nigdy nie bierz papieroska do buzi, bo się zakrztusisz, udusisz lub co gorsza połkniesz tą fajkę ty ostatnia ofermo!

Wziąłem więc sobie te dobre rady do serca i z obawy o własne zdrowie nigdy nie zapaliłem papierosa. Nie o tym jednak mam myśleć. Powracając więc do tematu pana Czesia, przychodziłem do niego często po zapalki. Piecyk się trudno zapalał i to było powodem aż tak częstych wizyt. Płacąc około dziesięciu groszy dziennie, co w skali roku dawało pokaźną sumę trzydziestu sześciu złotych i pięćdziesięciu groszy (pan Czesio miał otwarty kiosk każdego dnia w roku, wliczając niedziele i święta), skazany byłem na wysłuchiwanie opowieści z dziennika

jego życia. Niektóre były śmieszne, a niektóre przyprawiły mnie o dreszcz na skórze. Przyznaję, pan Czesio miał bogate życie. Szczególnie w pamięci utkwiła mi jedna historia. Wydarzyło się to grubych parę lat temu. Pan Czesio był jeszcze młodym człowiekiem.

– Jak się jest młodym, to się trzeba wyszumieć, rozumiesz człowieku – mówił pan Czesio ze szczególnym akcentem na słowo „człowieku”. Postępował zresztą zgodnie ze swoją życiową dewizą. Miał wtedy kochankę, z którą razem mieszkał. Wtedy pan Czesio jeszcze pracował, chociaż do dzisiaj nie dowiedziałem się w jakim zakładzie pracy. Wiadomo jednak było, że pan Czesio był człowiekiem bardzo towarzyskim. Jak się jest towarzyskim, to rzeczą wiadomą samą z siebie jest, iż posiadał mnóstwo kolegów. Z tymi swoimi kolegami miał mnóstwo do omówienia „ma się rozumieć celów życiowych, człowieku”. Często zajmowało im to wiele godzin. Pan Czesio po tych poważnych dyskusjach, wracał o późnej porze do „cierpliwie” czekającej na jego osobę kochanki. Wędrując jednak tropem węża, często pokonując naturalne przeszkody – kurna! Jak ja raz przyrznąłem w tą huśtawkę, o w tą czerwoną, widzisz człowieku, to mi się wszystkie gwiazdy w słońce zlały”, przeskakując przez krzaki, piaskownice i co tam się pod nogami znalazło, pan Czesio docierał do swojej ukochanej. Tymczasem jego wiernie oczekująca go niewiasta, załamywała swoje białe, gładkie rączki i wybuchała krzykiem częstując pana Czesia ciekawymi epitetami.